

POSZUKIWANIE, KTÓRE STAJE SIĘ OBSESJĄ, MĘCZYŻNA, KTÓRY NIE
MA CZASU DO STRACENIA, I KOBIETA, DLA KTÓREJ WARTO ŻYĆ.

GRZEGORZ BARTOS

CUKIERECZEK



TRZECIE MIEJSCE
w konkursie na
powieść kryminalną

RW2010

GRZEGORZ BARTOS
CUKIERECZEK

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2015

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wieczorek

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Grzegorz Bartos 2015

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński

Zdjęcie na okładce © zorandim75 / Fotolia.com

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-152-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Prolog, Poniedziałek, 24.06.2013

Pierwsze rękawice dostała na szesnaste urodziny. Ciężkie czerwone rękawice z naturalnej skóry firmy Everlast, szyte ręcznie, zapinane na rzep, z dodatkową wyściółką z gąbki i usztywnionym nadgarstkiem. Dostała je od sąsiada rencisty, trenera szczypiornistek, który był jedynym przyjacielem jej ojca od czasu, gdy spotkali się w areszcie po czerwcowej zawierusze. Sąsiad ściągnął rękawice od siostry, która mieszkała w Londynie i miała dostęp do rajgu, który wówczas wydawał się tak bardzo odległy.

Dwa lata później Ewelina Frankowska była już mistrzynią Polski w walkach light i full contact. Juniorów i seniorów.

Te same rękawice kołysały się teraz na szyi stojącego w mroku mężczyzny. Gąbka wychodziła spomiędzy szwów, które puściły dawno temu, skóra popękała, rzep nie trzymał dobrze, koloru już nikt nie pamiętał.

Mężczyzna stał przy odrapanej ścianie, w mroku, tak żeby nie mogła go rozpoznać. W dłoni trzymał koniec żeliwnego pręta. Kołysał nim w powietrzu i co pewien czas stukał w podeszwę buta. Patrzył na nią, na jej rozciągnięte w powietrzu ciało, i czekał, aż się obejrzy.

Szarpnęła się.

Wisiąca pod dachem na łańcuchu, jakiego używa się, aby zaczepić pod sufitem worek bokserski. Głową w dół. Jedną nogę miała uwiązaną do łańcucha, drugą przyczepioną nieco luźniej sprężystą taśmą. Podciągnęłaby się, gdyby nie to, że na szyję zarzucono jej pętlę. Koniec sznura przywiązany był do drewnianych palet leżących na podłodze. I tak rozciągnięta, pozbawiona możliwości ruchu, mogła się jedynie ko-

łytać i z trudem oddychać. Nic innego nie mogła zrobić. Nie mogła walczyć. Nie mogła na dłużej opanować paniki.

Bluzka, którą miała na sobie, osunęła się na ramiona i twarz – nic nie widziała i odnosiła wrażenie, że dusi się pod materiałem, jakby ktoś naciągnął jej kaptur na twarz. Napinała odsłonięte mięśnie brzucha, bezwiednie chcąc się unieść, ale wówczas pętla na szyi natychmiast niebezpiecznie się zaciskała. Próbowwała zgarnąć ręką materiał bluzki z głowy i zasłonić nią tułów, tak jakby wstydliwie chciała zakryć piersi w czarnym biustonoszu. Starła się wsunąć bluzkę w spodnie, ale daremnie. I znów panika. Machała ręką, by po chwili wciskać ją w usta, całą pięścią, żeby tylko nie zacząć krzyczeć.

Wcześniej krzyczała kilkanaście minut. Gardło jej wyschło i dusiła się. Nie mogła oddychać. A teraz to wydawało się najważniejsze.

Uspokój się! Uspokój. Złap oddech. Raz. I dwa. Wdech. Wydech. Spokojnie. Złap oddech.

Co to za zapach? Znam go. Znam ten zapach. Gdzie jestem? Blisko domu. Tak. Muszę być gdzieś blisko.

Czuła zapach Plant. Tytoniu. Z jednej strony drażniący, duszący, przytłaczający, a z drugiej – wilgotny i zmysłowy. Zapach tytoniu z zakładów w wietrzny dzień otulał niemal całą dzielnicę. Nie tak silny jak wilgotną jesienią, ale przejmujący, niedający o sobie zapomnieć. W wietrzne dni pełnie w powietrzu i dociera wszędzie, okrywa każdą ścieżkę Plant.

Znów spróbowała wyrwać zaczep łańcucha. Kołysała się i kopała nogami w powietrzu. Deski stropowe, z których zwisał łańcuch, zatrzeszczały, ale nie puściły. Ryzykowała upadek na kark z wysokości ponad dwóch metrów. Z drugiej strony, co lepszego mogło ją spotkać w tej sytuacji?

Szamotała się na łańcuchu przez kilka minut. Nagle poczuła, że nie jest sama. Okręciła się wokół, ale nikogo nie zobaczyła. Ale ktoś tu był, z całą pewnością. Te-

raz! Usłyszała nieco chrapliwy oddech. Ponownie szarpnęła się, ale nikogo za nią nie było.

– I co, Cukiereczku, dasz radę?

Tęgi mężczyzna w przepoconej koszulce zatrzymał się przy przydrożnej kapliczce. Przysiadł na niskim drewnianym ogrodzeniu, ciężko odetchnął i napił się wody mineralnej z plastikowej butelki. Przed sobą miał małą osadę domków jednorodzinnych, przypominających z tego dystansu rozrzucone w nieładzie łupiny orzechów. Wśród kilku nowszych i wielu starych znajdował się dom jego rodziców, przy którym zostawił samochód. W mieście wstydził się biegać, chłopcy z patroli stroiliby sobie z niego żarty. Wprawdzie miałby gdzie, ponieważ lubił parkową alejkę ciągnącą się od Traugutta do Księdza Sedlaka, ale widok biegnącego dla sportu człowieka nadal był na radomskich Plantach rzadkością. Zwykle jeśli ktoś biegł, znaczyło to, że albo ucieka, albo kogoś goni. Dziewczyny w legginsach czekał głośny doping. Tęgi drab jego pokroju musiał liczyć się z zatrzymywaniem przez każdy pieszy patrol. Trzeba też było uważać na korzenie, które w trzech miejscach przecinały ścieżkę przy ogrodzeniu, jeszcze przed stadionem. Mógł też podjechać i biegać wokół zalewu na Borkach. Ale wolał tę okolicę. Moc powietrza. Błękit nieba. Zieleń i żółć, czerwień maków, pola i las, to go uspokajało. Nawet jeśli nieustannie myślał o szesnastoletnim gwałcieliu z miejskiego szpitala.

Rodzice Gerarda osiedlili się w stronach dziadków, w domu na wsi, po przejściu na emeryturę. Byli nauczycielami – historii i matematyki. Nawet jeśli się zżymali na drogę, którą wybrał jeden z synów – był gliną, dziś w stopniu podkomisarza – to nie protestowali. „Na te ciężkie czasy niech będzie. Teraz już starość, niech każdy żyje, jak chce. Kto inny nas będzie rozliczał. Dobry Bóg powie, czy byłeś dobrym człowiekiem”. Za komuny nie byli tacy wierzący. Do furii doprowadziła go wiadomość,

że za oszczędności, czy nawet kredyt, odrestaurowali kapliczkę, którą ufundował pradziadek – stojącą samotnie pośród pól figurę Świętego Jana Nepomucena otuloną w płaszcz z białego gipsu.

Na te ciężkie czasy, taaak. Kapliczka. Nepomucen.

Ruszył dalej. Wielki czarny kundel podniósł się z trawy i podreptał za nim. Wyraźnie kuśtykał poboczem, ale dawał radę i dotrzymywał mu kroku. Najpierw próbował go odgonić, wystraszyć, ale wyliniała bestia nie zwracała na to uwagi. Kilka susów i znów była za jego plecami, nieco z boku. I tak przez cały czas. Podczas gdy on biegł. Siedem kilometrów męki. Siedem kilometrów i sto metrów czystej męki.

Miał już dość. Biegania i tego cholernego psa. Zatrzymał się przy starym przystanku autobusowym. Wiedział, że to musi nadejść. Po siódmym kilometrze. Kryzys organizmu. Musiał go przetrzymać. Chciał wystartować w maratonie trzeźwości w przyszłym roku. Żeby udowodnić tym wszystkim kretynom, że człowiek z jego słabościami również może tego dokonać. I mało brakowało, a udałoby mu się dobiec do mety.

Splunął i otarł pot z czoła. W sumie wiatę przystankową też można uznać za metę. Dlaczego nie?

Wyczuł wibracje telefonu komórkowego upchanego pod ciasną opaską na ramieniu. Wyciągnął aparat i ciężko odetchnął, zanim krótko się odezwał:

– Słucham.

– Nie ma jej. Straciliśmy ją.

RETROSPEKCJA. 15.04.2013 – 15.05.2013

Zastygłe zielono-brązowe plamy – po zupie i sosach, po smaženinie – tworzyły na blacie kuchenki gazowej kolorowy obraz. Gerard zajrzał do garów, w których poniewierały się kurze gnaty, wyschnięta marchew, cebula i seler. Czarna patelnia. Spalony

czajnik. Kuchenny blat, spleśniała cytryna i pojedyncze torebki herbaty, pieprz i sól w glinianym dzbanku-dwojaku, deska i nóż, a do krawędzi blatu przykręcona maszynka do mielenia mięsa, jakiej nie widział od kilkunastu lat.

Otworzył zamrażalnik w starej brudnej lodówce. Znalazł tam spakowane zmielone mięso. Wiedział, co to jest. Ona im powiedziała, matka. Po to przybyli całą ekipą śledczą do obskurnego mieszkania w kamienicy na podwórku Wałowej – do domu kobiety, która ugotowała, zmieliła i zjadła swoje dziecko. To, co zostało, zamroziła. Kawalki ciała nie do rozpoznania. Westchnął. Jeszcze raz ogarnął wszystko wzrokiem. Kuchnia, zlew zawalony miskami i talerzami, czajniki i gary na płycie kuchni gazowej, szklanki i szuflada ze sztućcami, a obok niedawno używana maszynka do mielenia z pozostawionym ochłapem mięsa. Farsz. Na parapecie na pierwszy rzut oka dziecięcy majdan.

– Tak, ja też nie lubię poniedziałku – skwitował cały ten bajzel naczelnik. Gerard opadł ciężko na krzesło przy oknie.

– Hej! – warknął ostrzegawczo szef ekipy technicznej, ale zignorował go.

– Niedokładnie zmielone – usłyszał. – Nie dogotowała.

Prokurator, kontrolny, śledczy z KMP, ekipa „paramed” i paru zzieleniałych funkcjonariuszy z patrolu zagląających z korytarza – wszyscy świadkowali klęsce życia tej kobiety. Stara tapeta odłaziła ze ścian. Krzesło zatrzęszczało pod jego ciężarem. Pod parapetem wyczuł przyklejone zaschłe gumy do żucia. Na parapecie leżały bloki rysunkowe, wycinanki, stare zeszyty, mazaki i kredki, farby, odłamki starych długopisów i zardzewiałe dziurkacze – z jakiego śmietnika? – figurki aniołów, kilka skarbonek wypchanych groszami, zakurzone dzbanki ze zwiędłymi kwiatami i gruba książka kucharska brązowa od spodu.

Ile ona miała dzieci w ogóle?

Gerard wpatrywał się w panoramę dachów za oknem, kamienic i bloków Krakowskiej i Limanowskiego.

Przypomniął sobie spojrzenie tej kobiety, kiedy zjawiała się na komendzie i podeszła do dyżurki. Bezradność ustępująca pustce, nieprzytomności. Ale najpierw ta bezsilność, rozpaczliwa bezsilność, gdy powiedziała płaskim głosem do dyżurnego, a potem do niego, ponieważ stał przy schodach na piętro:

– Zabiłam swoje dziecko... Zabiłam swoje dziecko.

Zogniskował spojrzenie na cienkich rysach zostawionych na szkle. Ich układ coś mu przypominał, ale nie potrafił skojarzyć co. Dopiero po chwili go olśniło – cztery cienkie linie, głęboko wryte w szkło, i piąta krótsza: kciuk i palce prawej dłoni. Patrzył w okno na życie tej kobiety. Patrzył na jej życie jakby na własne. Widział dzieci, męża, rodzinę, sąsiadów, udrękę, znój, poniżenie, przemoc, śmierć. Widział smugi na szybie. Widział ślady pazurów na szkle. Ślady, których nie zostawił jeden dzień, lecz tygodnie, miesiące, długie dni całego życia.

Poczuł się znużony, tak strasznie znużony. Nic nie miało sensu ani znaczenia. Nie miał siły wstać z tego cholernego krzesła, które trzeszczało coraz bardziej. Z trudem odwrócił głowę i spojrzał w stronę szefa.

– Muszę zrobić sobie przerwę – powiedział. – Jeśli nie chcesz, żebym odszedł.

Zwykle najpierw mijała zaniedbany budynek, w którym kiedyś mieściła się szkoła muzyczna; kilkadziesiąt metrów dalej przebiegała ulicę prowadzącą do dworca i wbiegała w bramę, a z niej wpadała w plataninę ulic teatralnych mistrzów międzywojnia; stamtąd docierała do alejki parkowej i pokonywała ją do samego końca: rozległego bloku zamkniętego mini-osiedla, skąd odbijała w jedną z bocznych uliczek lub decydowała się biec prosto, do oddalonego o kilka kilometrów zalewu, ulicą nomen omen Maratońską. Tym razem postanowiła skrócić i zrobić krótką trasę uliczkami, przy których stały domy prawników i lekarzy, głównie dentystów bądź ginekologów. Na krótki bieg nie zabierała sprzętu pomiarowego, najważniejsze były wygodne

buty i strój. Czasem nie zabierała nawet zegarka, jakby chciała poczuć trochę wolności – bez obowiązków, których cały kierat zostawiała za sobą. To jest mój trening, powtarzała w myślach, i mam do niego prawo. Mimo że sportowa kariera była już od kilku lat przeszłością, utrzymywała dobrą formę, tłumacząc to zajęciami w klubie fitness. Ale tak naprawdę bieganie to była jej cała wolność. Słuchawki na uszy i muzyka w dobrym rytmie.

Skręciła w lewo, starając się zachować spokój, jak zawsze gdy wpadała w ścieżkę wyłożoną nierównymi kamieniami. Nie mogła tego nijak zrozumieć – park, w którym miały się czuć swobodnie przede wszystkim matki z wózkami spacerowymi i małymi dziećmi, był pełen zdradliwych pułapek. Należało naprawdę uważać, aby nie skrócić nogi, o co było tak samo łatwo, jak o wywrotkę spacerówki czy potłuczone kolana i łokcie maluchów. Takie miasto. Może dlatego dopiero po kilkudziesięciu metrach zauważyła brak Mikrusa. Zatrzymała się i rozejrzała dookoła, ale nie znalazła go w zasięgu wzroku. Zbiegła na trawę i nawołując, dreptała między drzewami.

Mikrus był jej towarzyszem na krótkich dystansach. Mimo małych krzywych łap ten stary amstaff potrafił zostawić ją daleko w tyle, jednak nigdy nie znikał jej z oczu.

– Mikrus!

Biegała od drzewa do drzewa, aż w oddali zamajaczył jej biały kształt. Zawołała jeszcze raz, choć panika już ścisnęła ją za gardło.

Z daleka zobaczyła na białej sierści plamę krwi.

Gerard Burzyński mieszkał w podupadającej, sześćdziesięcioletniej, dwupiętrowej kamienicy przy ulicy Solskiego, w dwupokojowym mieszkaniu na górnym piętrze. Szef kryminalnych z Jedyńki Robert Górski zanim przeszedł do powodu wizyty, uważnie obejrzał mieszkanie. Urządzone skromnie, wręcz ascetycznie. Szafa wbudo-

wana we wnękę w przedpokoju, łóżko i szezlong w pokoju, naprzeciwko niski regał z telewizorem, stary rower (kolarka z żelazną ramą), dwie lampy i wiklinowy stojak z zakurzonymi książkami. W suficie hak i zawieszony na nim worek treningowy.

W drugim pokoju nie było nic, kompletnie nic, jakby ktoś wymiół z niego całe życie. W kuchni stare regały, stół i krzesła, kuchenka gazowa, lodówka i zlew. Nic więcej nie potrzeba. Żadnych kwiatów ani obrazów. Żadnych zdjęć. Wysokie ściany, kaloryfery, szeroki parapet na zewnątrz, panorama Plant za oknem. Czerwone martensy rzucone beładnie w przedpokoju.

– Stara żydowska kamienica. Kiedyś chcieliśmy kupić mieszkanie w sąsiedztwie, ale nie było ogrzewania. Dwudziesty pierwszy wiek – prychnął Górski. – Centrum miasta i nie ma gazu. I nawet nie było planów, żeby założyć... Widzę, że dbasz o formę. Dobrze – stwierdził, patrząc na zwisający z sufitu w samym środku pokoju worek bokserski. Zamarkował kilka uników i uderzył; worek rozhuśtał się, hak w suficie niebezpiecznie pojękiwał. Potem Górski wszedł do kuchni i mina mu zrzędła; obejrzał się na Gerarda z wyraźnym niesmakiem. Na blacie stało kilkanaście pustych butelek po piwie, kilka po winie i wódce, a nawet jedna po tequili, słoiki po ogórkach konserwowych i marynowanej papryce, plastikowe pojemniki po śledziach po kaszubsku. Dieta mistrzów.

– Urodziny miałem – warknął Gerard.

– Nie wydaje mi się.

Górski zrzucił ciuchy z szezlonga i przysiadł na krawędzi siedziska.

– Moja znajoma ma psa, amstaffa – zaczął. – Ułożone bydlę. Zupełnie inne niż by się mogło wydawać. Wszystko to kwestia konsekwentnego treningu, od samego początku. Można wychować psa tak, żeby spełniał twoje oczekiwania. Był przyjacielski, rozumiesz, jak stworzenie domowe, zachowując przy tym cechy psa obronnego. To trudna sprawa, ale możliwa. Tylko trzeba od początku zaznaczyć granice. Znajo-

mej się udało. Miała psa, którego można jej było tylko pozazdrościć. Straciła go nieszczęśliwie w ubiegłym tygodniu.

– Za dużo dresów biega po mieście z amstaffami, żeby się wzruszył – wtrącił Gerard, nie rozumiejąc, do czego zmierza szef w swojej opowieści.

– Ktoś go zastrzelił.

– Zastrzelił? Psa?

– Tak, psa. W centrum miasta. W twoich stronach. Snajper.

– Snajper?

– Tak. Sprawdziliśmy i wygląda na to, że sprawca strzelał z okna łazienki w internacie na Kościuszki siedem. Nie wiem, co tam jest teraz, kiedyś był internat mechaników, ale każdy może wejść. I on to zrobił prawdopodobnie stamtąd. Przygotował się o tyle dobrze, że pod drzewem, gdzie leżał pies, znaleźliśmy zakopane pod trawą mięso wołowe. Na przynętę. Pies dostał w łeb, prosto między ślepia. Nieprzyjemny widok.

Burzyński przetarł oczy, po czym zaczął się śmiać, jakby nie mógł nad sobą zapanować.

– To był, kurwa, zamach. – Śmiał się dobre kilka minut, po czym odetchnął głęboko i zapytał: – Co to była za broń?

– Znaleźliśmy ją w dawnej kabinie prysznicowej. Karabinek sportowy miejscowej produkcji. Ogólnie dostępny, chociażby przez internet. Ze stalową kolbą składaną i przedłużonym zatrzaskiem magazynka. Precyzyjne ustrojstwo. Na szynie można zamontować każdy sprzęt optyczny. Ślepy nocą by sobie poradził.

– Ogólnie dostępny – mruknął Gerard.

– Tak, dzieciaki latem się nudzą. Tyle że w tym przypadku... Trafił psa w łeb. Kobieta była jakieś sto metrów dalej. – Górski zerknął na rozmówcę z powagą. – Nie widzę w tym wszystkim nic śmiesznego – rzucił oschłym tonem i Gerard ze skrucą przyznał mu rację. – Cała rzecz w tym, że ten amstaff należał do dziewczyny, która

była zawodową mistrzynią Europy w kickboxingu. I tak, to faktycznie zamach, a raczej przesłanie. Groźba. Nie pierwsza, ale tym razem naprawdę poważna. Tyle że to cholernie uparta dziewczyna. Pewnie nie osiągnęłaby tak wiele, gdyby nie upór. W tym przypadku jednak... Popatrz sam.

Wstał, zrobił kilka kroków, sięgnął po zostawioną w przedpokoju teczkę i rzucił ją Gerardowi.

– To są materiały, które jej dotyczą. Przejrzyj uważnie.

Burzyński leniwie otworzył teczkę i zaczął przerzucać zapakowane w foliowe koszulki kartki, kserokopie, wykazy rozmów telefonicznych. Zerknął szybko na fotografię leżącą z wierzchu. Tak, upewnił się, widywał tę kobietę na dzielnicy, ale nie przyznał się przed szefem, że ją rozpoznał.

– Sprawdzaliście bilingi?

– Nic to nie dało. Fajfus dzwonił z komórki na kartę.

– Często?

– Dwa, trzy razy na dobę. Często w nocy, zwykle kiedy jej mąż miał dyżury.

– Sapał?

– Sapał.

– Może astmatyk?

– Świr, nie astmatyk. Skup się.

Glina otworzył kolejną koszulkę z fotokopiami. Trafił na gazetowe wycinanki ułożone w groźby. Prymitywne fotomontaże. Artykuły prasowe z dopisaną flamastrzem puentą. Banaly. „Już niedługo. Przegrywasz na ringu, wkrótce przegrasz w życiu. Kogo jeszcze skrzywdzisz? Nadchodzi twój koniec. Wiem, gdzie mieszkasz...”

– A tak przy okazji tamtą kobietę od zmielonego dziecka uznano za niepoczytalną. Szok po porodzie – rzucił Górski. – Wywinęła się Marianna D.

– Wywinęła się – powtórzył odruchowo Gerard. *Czyżby...? Nie jestem pewien.*

Naczelnik przysiadł przed nim, kiedy zabierał się do otwierania kopert z listami od prześladowcy, i zdecydowanym ruchem zamknął mu teczkę przed nosem. Odsunął ją na bok i zażądał skupienia całej uwagi na sobie.

– Posłuchaj mnie. To wszystko zostaje u ciebie. Twoja zgoda na bezpłatny urlop leży u mnie na biurku i czeka na podpis. Moja propozycja jest taka, że... nie dostaniesz tego urlopu, ale znajdą się zaległe nadgodziny. Masz ich całkiem sporo, dostaniesz wolne i nawet pensję. Siedź cicho, widzę przecież, jak u ciebie wygląda! Dostaniesz czas, niechby nawet cały następny miesiąc, żeby się pozbierać, choć Bóg mi świadkiem, w firmie twoja reputacja zaczyna niewiele znaczyć. Co z tego, że jesteś jednym z lepszych policjantów w kryminalnym? Nic. Nie można tak po prostu odpuścić. Ale ja ci na to pozwalam, pod jednym warunkiem: zajmiesz się nią. – Stuknął wymownie palcem w teczkę. – Zajmiesz się tym, co zawierają te papiery, a poza tym wyświadczysz mi przysługę i pojedziesz z nią na zawody do Krynicy. Jak znalazł, coś w sam raz dla ciebie: uzdrowisko. Mistrzostwa juniorów, jest na nich sędzią ringowym. Wszyscy próbowali ją przekonać, żeby zrezygnowała, szczególnie teraz, po tym strzale w parku, ale ona... – Machnął ręką. – Pojedziesz jako jej ochroniarz, słyszysz? Nie może jej spaść włos z głowy. Przy okazji trochę pogrzebiesz w całej tej historii. Nie zaboli cię to, zarobisz i może uznasz, że trzeba wrócić do służby i znów żyć jak normalny człowiek.

Gerard uśmiechnął się krzywo, bo obaj doskonale wiedzieli, że żyć jak normalny człowiek to dla policjanta niezwykle trudne zadanie, wręcz niemożliwe.

– Sprawa jest nieoficjalna – uprzedził jego pytanie Górski. – Ale historia z amstaffem już się rozniosła i są naciski ze strony radnego ze stowarzyszenia, w którym kiedyś działała. To kolega jej męża. Ale przede wszystkim na zapewnienie dziewczynie takiej ochrony nalegał jej były trener, z czasów kiedy zdobywała mistrzostwo w kickboxingu.

– To jej mąż?

– Nie, ale wyraźnie jest w niej zakochany. Poza tym trenuje teraz dzieciaki Komendanta Wojewódzkiego. Masz więcej pytań?

– Teraz nie.

– Cieszę się bardzo. Rodzaj przysługi, tak? Chociaż... jak popatrzeć na ten cały syf, nie wiadomo, kto tu komu robi przysługę. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. – Pokręcił głową z niesmakiem, po czym zdecydowanym ruchem przesunął teczkę w stronę Gerarda i wstał. Zmierzając do wyjścia, zatrzymał się na krótki moment, obejrzał za siebie i rzucił w progu: – Ona jest tak cholernie uparta.

*

Kiedy Burzyński znalazł salę, na której odbywały się walki, okazało się, że przygotowania do zawodów wchodzą w ostatnią fazę. Ekipa ośrodka kończyła rozstawiać ringi, przygotowywała trybuny i zaplecze dla zawodników. Po sali kręciło się już także kilkunastu kickbokserów ze swoimi trenerami lub członkami ekipy.

Gerard usiadł na trybunach i rejestrował klimat turnieju. Małe obrazy. Zatrzymane kadry. Ćwiczenia w kapturach, skupieniu. Ze słuchawkami na uszach. Raz, raz. Ciosy w rękawicę trenerską. Ciągnij po dołach. Lewa, lewa, i odejdz. Nie pojedynczo, raz, dwa. Dobrze. Przechadzki po sali, kołysanie się, żeglarski chód, nonszalanckość, wola walki, nikt mnie nie pokona. Łyse głowy. Owinięte bandażem pięści. Ziewanie przed walką. Sędziowie wokół ringu. Trenerzy. Spiker. Mało ludzi na trybunach. Starzy bokserzy i gangsterzy. Nie ma telewizji, nie ma publiczności, nie ma mediów, tylko grzybki kamer ochrony – na sali, w szatniach, w korytarzach. Gerard spostrzegł też puste miejsce po gaśnicy w głównym hallu, kosze wypełnione butelkami i puszkami po piwie.

Sala wypełniała się, ale jego to nie dotyczyło. Błądził myślami wokół swojego zadania, raz po raz zbacząc na inny tor. Turniej był rozgrywany zgodnie ze specyfiką tego rodzaju imprez; w piątek i sobotę walki eliminacyjne i półfinałowe; walki fi-

nałowe i wręczanie medali odbywały się w niedzielę. Do Krynicy dotarli osobno, ale wracać miał z ekipą klubu i z Frankowską, honorowym jurorem zawodów. Przypomnił sobie, jak stał nad walizką w swoim mieszkaniu i zastanawiał się, czego potrzebuje na te trzy dni. Bo czego też człowiek może potrzebować na trzy dni? Pakował się po raz pierwszy od odejścia żony. W starą walizkę, która pamiętała jeszcze pierwsze przeprowadzki, wyjazdy na czterotygodniowe urlopowe saksy, wakacje w Olczy i Darłowie, szkolenia policyjne, na które zabierał więcej butelek niż ciuchów. Teraz po namyśle okazało się, że wystarczyłby mu mały turystyczny plecak. Trochę koszulek, trochę bielizny, drugie spodnie, bluza, kosmetyki i notatniki, których używał w pracy. Na koniec spakował pistolet, choć wedle przepisów powinien go zdać, biorąc wolne.

W dworcowym kiosku kupił mały przewodnik i w busie przejrzał strony poświęcone Krynicy-Zdrój, choć nie spodziewał się, aby miał wiele czasu na korzystanie z atrakcji uzdrowiska. Czuł jednak, że tak się robi i chciał zachować pozory wyjazdu wypoczynkowego.

Z bezkierunkowych rozmyślań wyrwał go głośny sygnał przypominający buczenie syreny okrętowej. Spiker anonsował kolejność pierwszych walk i wówczas na środkowym ringu Gerard zobaczył Ewelinę Frankowską w zaskakującym towarzystwie – mistrza Zugaja, znanego mu z relacji gal boksu zawodowego, a w ostatnim czasie równie słynnego ze swojego prywatnego życia, w którym pewne walki wyraźnie przegrywał, co hieny prasowe wykorzystywały bezlitośnie.

Gerard zbliżył się do ringu. Ewelina i Zugaj przekomarzali się, sprawiając wrażenie dobrych znajomych. Dziewczyna była ubrana w niebieską bluzkę i czarne spodnie dresowe z szerokimi nogawkami, które niemal całkiem zakrywały jej buty. Łysy pięściarz miał na sobie czarne spodnie od garnituru i białą koszulę, a na nadgarstku złotą bransoletę; był zaskakująco elegancki w tym otoczeniu.

– Miałś walczyć z Tysonem w Chicago i co?

– A ty znowu zmieniasz wagę? Zostaniesz mistrzem świata w kategorii łasuchów.

– Don King dzwonił i pytał o ciebie. Co słychać? Czego się wystraszyłaś?

– Może się boję, że będą o mnie pisać w kolorowych gazetkach tyle co o tobie.

Bokser uśmiechnął się krzywo. Niby się nie przejmował, ale kiedy trafił na okładki większości gazet w Polsce, pytających o stan jego zdrowia psychicznego, przestało być zabawnie. Cholerni paparazzi. Musiał zorganizować dwa razy więcej ustawek z fotoreporterami, chodzić po porannych programach telewizyjnych i sierocińcach, by mu uwierzyli, że nie chciał zabić ani swojej żony, ani siebie.

– To co, sparing?

– Teraz? Z tobą?

– Nie, z Lailą Ali. Jasne, że teraz. Mamy sporo czasu, zanim zawody się rozkręcą.

– Chyba podziękuję.

– No co ty? Boisz się? Będę walczył jedną ręką.

– Dureń – skwitowała, wzruszyła ramionami i w końcu się zgodziła. – Jak chcesz. Tylko żebyś nie żałował.

– *Ladies and gentlemen*, Ewelina Fraaankowska! – żartobliwie zaanonsował druh Zugaja, któremu przypadła rola sekundanta w tym pojedynku.

– No, Cukiereczku, dasz radę – rzucił zupełnie poważnie Zugaj, ale nie zareagowała. Zamarkowała krótką walkę z cieniem, rozciągała się przez kilka chwil, po czym z uśmiechem przyjęła z rąk sekundanta czerwony ochraniacz na zęby i protektor na głowę. Bokser odmówił podobnej ochrony machnięciem ręki, ściągnął tylko koszulę, odsłaniając tors; zsunął również buty i został w czarnych skarpetach. Chłopak na wózku inwalidzkim siedzący w kącie sali stuknął w gong i mogli zaczynać.

Gerard obserwował całe starcie oparty o ścianę sali kilkanaście metrów od ringu. Miał wrażenie, że Zugaj szybko zaczął wykorzystywać swoją przewagę; zadawał

więcej ciosów, ale lądowały na jej rękawicach i ochraniaczu. Wyglądało na to, że nie robią na Ewelinie większego wrażenia. Przeciwnie, zaczęła przyspieszać i atakować kombinacjami uderzeń, z których kilka dosięgnęło tułowia boksera. Zugaj chodził po ringu w charakterystyczny sposób, wolno stapał wokół Eweliny i robił głową stałe uniki z lewa na prawo. Ewelina przeciwnie, była cały czas w dynamicznym ruchu, odskakiwała, gdy wyprowadzał proste uderzenia, często zmieniała pozycję i również próbowała ataku. Zadawała cios, a jej ręka jak na sprężynie natychmiast wracała do gardy, osłaniając głowę kickboksarki.

Gerard wyczuł, że napięcie na ringu wzrosło. Zniknęła fanfaronada, a pojawiło się więcej pięściarskiej techniki. Nagle zobaczył, jak głowa Zugaja odskakuje po lewym prostym i w tym samym momencie towarzyski sparing się zakończył. Zugaj nie chciał bić kobiety, ale jeszcze bardziej nie chciał być bity przez kobietę. Bokser wziął się do roboty i jego ciosy zaczęły wchodzić. Po mocniejszym prostym na splot Ewelina wyglądała, jakby nie mogła złapać powietrza. Gerard ogarnął wzrokiem salę i zobaczył niezadowolone miny trenerów oraz zaniepokojone spojrzenie sekundanta. Tak jakby walka wymknęła się spod kontroli.

– Lewa! Lewa! – usłyszał krzyk z małej trybuny, na której siedziało kilku młodych zawodników, którzy odpuścili swoje ćwiczenia i przyglądali się walce.

I wtedy stało się coś niezwykłego. Tułów Eweliny nagle zniknął z pola widzenia Zugaja, ot tak, za to z boku pojawił się błyskawicznie szybki cień i po chwili na głowę mistrza spadło silne kopnięcie, które odrzuciło go niemal pod liny. Round kick pierwszej klasy.

– Hej! – warknął. – Co to było?

– Nie umawialiśmy się na boks! – odkrzyknęła ze śmiechem.

Gerard odbił się butem od ściany i ruszył w stronę ringu, bo pomyślał, że zaraz wydarzy się tutaj coś złego. Ale był w błędzie. Zugaj otrząsnął się po ciosie i uniósł ręce w geście poddania.

- Prysznic?
- Tak, osobno.
- Ależ Cukiereczku!
- Nawet nie próbuj.

*

Przysiadła się do niego przy obiedzie. Mimo że cechował go zdrowy policyjny instynkt oraz naturalna bezczelność, to czuł się przy niej zmieszany. Z miejsca, w którym siedział, przy małym stoliku pod oknem, widział, jak szła ku niemu przez salę z małą tacą, na której niosła swój obiad. Zawstydził się lekko. Jej ciało nie miało ani grama tłuszczu. A przy tym było tak kobiece, okrągłe, sprężyste, jak to tylko możliwe. I jej uroda...

Musiał przyznać, że była najzwyczajniej w świecie piękna. Inaczej nie potrafił tego ująć. To go krępowało. Już na sali treningowej poczuł się bardziej niezdarzy i chropowaty niż zwykle. Ciężki, powolny i zgaszony. A kiedy tak szła do niego, lekko uśmiechnięta, z bystrym i śmiałym spojrzeniem, czuł się zwyczajnie tępy. Do tego nosiła ciuchy podkreślające kształty – legginsy i obcisły topy – tak naturalnie, bez żadnego onieśmielenia, przyzwyczajona do nich jak do drugiej skóry. A on nie umiał postrzegać tego nieerotycznie. Chamski, tępy, wypalony glina. Nie wiedział, od czego zacząć.

- Poznajmy się wreszcie – powiedziała. – Przecież musimy.
- Gerard Burzyński – przedstawił się.

Postawiła tacę z posiłkiem na stole.

– Ewelina Frankowska. – Podała mu rękę i usiadła naprzeciwko. – Będziesz chodził za mną jak cień? Tak to ma wyglądać?

Wzruszył ramionami.

– Właściwie to nie wiem – odpowiedział zaskakująco szczerze. – Czego możemy się spodziewać?

– Właśnie! Czego możemy się spodziewać?

Zdał sobie sprawę, że dręczy ich to samo pytanie, na które nie znają odpowiedzi. Oboje znaleźli się pierwszy raz w takiej sytuacji.

– Cześć, Ewcia! – Tęga, nabita kobieta, w bojówkach i polarze, nagle pojawiła się za jej plecami i uściskała ją serdecznie, nie dając szansy na odpowiedź. Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, mimo swojej potężnej postury.

– Kto to? – spytał odruchowo, kiedy tylko kobieta oddaliła się od ich stolika.

– Och, dziewczyna z Podhala. Strażnik miejski. Pokonałam ją w walce o zawodowe mistrzostwo Polski w formule K1. Ważyła z dziesięć kilo więcej ode mnie, ale trochę czasu minęło... Trudna walka. Pięć rund na pełnej szybkości, bez zwarć i półdystansu, bo przecież widać, jaki to niedźwiedź. Byłam pierwszą mistrzynią K1 w pełnym kontakcie.

– Wcześniej nie dopuszczali kobiet do pełnego kontaktu? – zażartował.

– To były inne czasy. Chciałam wszystko robić jako pierwsza. W kickboxingu. Przełamywałam bariery jak Marek Piotrowski. I udało mi się kilka z nich pokonać, ale to nie tłumaczy, dlaczego muszę mieć ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nie chodzi o sport.

– Słucham?

– Niekoniecznie chodzi o sport. Przecież strażnik miejski z Podhala raczej nie będzie ci wysyłać anonimów. Ani też Jazmin Rivas czy Marianna Juarez. Prędzej bym obstawiał teściową.

Spojrzała na niego uważniej. Przygotował się.

– Chcę wiedzieć, kto to jest. Przecież to musi być człowiek, który znajduje się gdzieś blisko ciebie. Nie boisz się?

– Nie.

– Dasz sobie radę, tak? Ale ja muszę wiedzieć.

– To twoja praca, rozumiem. Ale dla mnie to jest moje życie. Nie zamierzam o nim opowiadać. Po prostu niech każdy robi swoje.

Popatrzył na nią ze zniecierpliwieniem. Szef miał rację: uparciuch.

– Ważne, żeby człowiek, który ci zagraża, nie robił swojego.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

ANTOLOGIA „KRYMINALNA 13” to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świtu ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka”, platforma „Maszyna do pisania”, serwis „E-fantastyka”, „Kawiarenka kryminalna”, Portal Rynku Wydawniczego „Wydawca”.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych. Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

Krzysztof Golczak: SZCZĘŚCIARZ

Przy każdym morderstwie odpowiedzi na wszystkie pytania znają dwie osoby: sprawca i ofiara.

Po samobójstwie partnera podkomisarz Robert Jastrzębski próbuje odnaleźć się w nowej dla niego rzeczywistości. Przymusowy urlop nie przynosi oczekiwanych rezultatów. Pozostaje liczyć na to, że kolejne dochodzenie przy wsparciu młodych sił śledczych poprawi sytuację. W Poznaniu, niemal pod nosem komendy, ktoś zastrzelił spokojnego biznesmena w jego własnym mieszkaniu. Wszystko wskazuje na to, że ofiara jest przypadkowa, a raczej nic sugeruje istnienia racjonalnego motywu zbrodni.

Trudna sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy w równie niejasnych okolicznościach ginie osoba powiązana z ofiarą. Żmudne, drobiazgowo śledztwo nabiera nowego wymiaru. Czyżby Jastrzębskiemu trafił się pierwszy seryjny zabójca w jego długiej policyjnej karierze? A może to niezwykły zbieg okoliczności? Czy kontakty podkomisarza z miejskim półświatkiem zaowocują obiecującymi tropami? A może inteligentny, cyniczny i dotąd skuteczny podkomisarz poniesie spektakularną porażkę? Szczęście zdaje się sprzyjać sprawcy, pech prześladowuje policję, a nieregulaminowy flirt z niesfornym świadkiem grozi kłopotami.

„Szczęściarz” to miejski kryminał w starym dobrym stylu. Policjant, ofiara, śledztwo, morderca. Dobro kontra zło. I jeszcze coś pomiędzy...

Sebastian Imielski: SZKOŁA NA WZGÓRZU

Szkoła uczy i karze niepokornych.

Posada w Zespole Szkół w Sławinie jest dla Sylwestra Cichego szansą na nowy początek po osobistych niepowodzeniach. Młody nauczyciel szybko przekonuje się, że życie na kaszubskiej prowincji dalekie jest od sielanki. Szkoła – zarządzana surową ręką przez małżeństwo Mechów – kryje w sobie wiele tajemnic. Bohater zagłębia się w nie, gdy w nieznanych okolicznościach przepada bez wieści jedna z uczennic.

Wbrew dyrekcji szkoły Cichy angażuje się w poszukiwania. Analizuje historię placówki i odkrywa, że dwadzieścia pięć lat wcześniej zniknęła i nigdy nie została odnaleziona inna dziewczyna. Belfer przekonany, iż przypadki obu uczennic się łączą, prowadzi swoje dochodzenie. Pomaga mu dziennikarz trójmiejskiego brukowca Karol Zawada, przed laty zajmujący się sprawą zaginionej uczennicy.

Co się stało z dziewczynami? Zostały porwane? Czy jeszcze żyją? A może uciekły, jak sugeruje policja? Nerwowe reakcje pewnych osób oraz dramatyczny rozwój wydarzeń dowodzą, że badanie przeszłości Sławina wyraźnie komuś zagraża. Czyżby na terenie spokojnego miasteczka grasował morderca? Cichy i Zawada są pewni swoich teorii – dlatego z narażeniem zdrowia, a nawet życia angażują się w jego zdemaskowanie.

„Szkoła na wzgórzu” to zgrabne połączenie powieści detektywistycznej i obyczajowej. W małomiasteczkowej scenerii rozgrywają się wielkie dramaty i rozciągnięte w czasie tragedie.

Kasia Szewczyk i Jacek Skowroński: MASKI

Zbiór siedmiu przesyconych grozą historii, w których prawda i fałsz grają z czytelnikiem w ciuciubabkę. Nic nie jest oczywiste, zdrowy rozsądek może okazać się zdrajcą, a szaleństwo – błogosławieństwem. Po lekturze czytelnik zastanowi się sto razy, nim sięgnie po lukrowane pączki, nie zmruży oka, nocując w hotelu, i dowie się, do czego potrafi być zdolny człowiek kochający literaturę... ponad życie.

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Tomasz Mróz: FABRYKA WTÓRÓW

Wielki ponury budynek w centrum miasta, ginący w szarej kotłownianinie chmur. Nikt w okolicy nie wie, co się tam mieści, i nikt tego wiedzieć nie chce. Ci, którzy dostali się do wnętrza dziwnej budowli, znikają, by po jakimś czasie powrócić – ale zupełnie odmienieni. Strażnik Instytutu przeganiania wścibskich natrętów, lecz jeśli już ktoś pozna tajemnicę, nie ma drogi odwrotu. Co się wydarzyło setki lat temu na dalekiej Syberii? Kim jest człowiek w czarnej pelerynie biegnący do tramwaju? Czy można przekazać swe życie komuś innemu?

Wedrzyj się do „Fabryki wtórów”, poznaj jej sekrety. Lecz pamiętaj, kto przekroczy progi Fabryki, już nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

„Fabryka wtórów” to powieść kryminalna z elementami thrillera i science-fiction, tradycyjnie dla serii z Komisarzem Wątrobą, okraszona dużą dawką humoru i kpiny. Komisarz swoim zwyczajem nie daje za wygraną, dopóki nie dotrze do istoty problemu.

Tomasz Mróz: PRZEJŚCIE A8

Kryminał nie z tego świata. Mamy tu: tajemnicze zabójstwa, kuszenie, cyrografy, złote sztabki, walkę dobra ze złem, satyrę i pełne ironii obserwacje rzeczywistości..

Przejście A8 to kryminał paranormalny, w którym miesza Nowak. Przygotujcie się na spotkanie z komisarzem Wątrobą (w roli kuszonego), posterunkowym Chwiejczakiem (niezłomnym) i nieśmiertelną ławeczkową trójcę (Pająk, Marian i Stalowy), która postanawia iść... do pracy. Cud boży? Raczej szatańskie sztuczki.

Co zrobić, kiedy w twoim życiu pojawi się Nowak? Jak uchronić się przed jego knowaniami, bandą arabskich górników oraz fanatyzmem Bolka z działu marketingu? Jakie zalety ma mały mózg w dużej głowie? W „Przejściu A8” zostały połączone rzeczy straszne i śmieszne, płytkie i głębokie oraz wysokie i niskie. Wynik jest zaskakująco pozytywny oraz pozytywnie zaskakujący.

Tomasz Mróz: SZARY CIEŃ

Mylne tropy, zjawiska paranormalne, półświatek, którego życie koncentruje się w miejscowym parku – to sceneria powieści „Szary cień”. Historia dziwnego zgonu i jeszcze dziwniejszego podejrzanego kładzie się cieniem na życiu komisarza Wątroby i posterunkowego Chwiejczaka, nie dając im spokoju przez lata.

W salonie zaniedbanej przedwojennej willi zostaje znalezione ciało młodego człowieka. Z zebranych informacji wynika, że był on związany z tajemniczą sektą religijną. Okoliczności zdarzenia i brak śladów walki wskazują na samobójstwo, jednak symboliczne ułożenie zwłok, niejasne zeznania świadków, jak również sny prowadzącego śledztwo – podsycają podejrzenia, że było to morderstwo. W tym samym czasie w pobliskim parku trwają poszukiwania sprawcy brutalnego pobicia włóczgi. Policjanci nie umieją, a może nie chcą połączyć tych dwóch faktów. Dopiero upływ lat, wyrzuty sumienia i... nuda starości powodują, że komisarz Wątroba i posterunkowy Chwiejczak postanawiają rozwiązać starą sprawę.

„Błędy się mszczą przez całe życie” – ta sentencja sprawdza się i tym razem, a osoba tytułowego Szarego cienia jest właśnie takim życiowym błędem sprawców zbrodni.

Marian Kowalski: MROczne DZIEDZICTWO

Spotykają się na zjeździe poświęconym zjawiskom nadprzyrodzonym. Daniel jest sceptycznym niemieckim dziennikarzem, żyjącym terażniejszością, nieczującym związku z rodziną i jej historią. Irena to polska rzeźbiarka, za którą ciągnie się tren odległej przeszłości. Mroczna scheda po przodkach nie daje o sobie zapomnieć. Ma wpływ na jej obecne życie oraz na losy związanych z nią mężczyzn. Na plenerze rzeźbi posązek swej dalekiej krewnej spalonej na stosie; duch kasztelanek – opiekuńczy? żądny zemsty? – wciąż jej towarzyszy.

W powieści przewija się wątek Inkwizycji i procesów budowanych na pomówieniach; pojawiają się postaci „czarownic”, ich bezlitosnych sędziów, oraz potomków jednych i drugich.

W historii pełnej tajemnic nie może zabraknąć motywu ukrytego skarbu, sporów rodzinnych sprzed wieków prowadzących do okrutnej śmierci i nagłych a niejasnych zgonów w terażniejszości. Wiele tu legend, aluzji, dywagacji oraz... uczucia. „Mroczne dziedzictwo” to niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu, szukaniu miejsca w życiu, to historia intrygująca i fascynująca.

Marian Kowalski: WOŁANIE MEW

Powieść obyczajowa z wątkami thrillera i fantastyki. Przedstawia losy celebrytki i modelki Ingi Bral wpisane w ponurą morską legendę o mewach z duszami topielców.

Inga i Joachim Krafft żyją banalnie, zmysłowo. On – Mazur z pochodzenia – dobrze wszedł w wielkomijski pejzaż, ona – córka polskiego marynarza – nie zadowala się tym, co ma, pragnie czegoś więcej niż podziw mężczyzn i niesłabnące pożądania kochanka-opiekuna. Nie wystarcza jej dostępne szczęście i osiągnięta już stabilizacja. Pełna sprzeczności, dążeń i pretensji do świata nie potrafi spokojnie żyć u boku Joachima. Chce czegoś dokonać, zasłużyć na... nieśmiertelność. Pragnie zostać dziennikarką, marzy o rejsie jachtem. Ale gdy w końcu namawia Joachima na wyprawę po Morzu Północnym, rzeczywistość i wszechobecne mewy napawają ją lękiem...

Na chwilę znajduje wytchnienie wśród norweskich fiordów, u boku dwóch zauroczonych nią mężczyzn. W odmiennym krajobrazie wierzy, że odnajdzie cel. Tu wszystko ma swą nazwę, głębszy sens, nie sprowadza się tylko do seksu. Ale i tu są mewy, tajemnice i dziwna, czająca się wśród wrzosowisk i bagien groza. Może od przeznaczenia nie da się uciec...? Jak to się skończy, czy Inga znajdzie to, czego szukała, czy odmieni swoje życie, nagrywając wymarzoną świąteczną audycję o ludziach morza?

Marian Kowalski: STRAŻNICY ZMARŁYCH

Zbiór opowiadań sensacyjno-kryminalnych, głównie o tematyce marynistycznej, w której bohaterami są marynarze, piękne kobiety, chciwi piraci i okrutni esbecy. To opowieści ze zbrodnią w tle, uwodzące klimatem tajemnicy, egzotyki; inne historie porażają historyczną prawdą oglądaną z okna lub... opatrzoną kryptonimem. Dzięki lekturze zagłębiamy się w tygiel skrytych żądz, marzeń, których spełnienie może oznaczać śmierć. Twoją lub cudzą. Dlatego: uważaj, czego pragniesz. Strażnicy zmarłych czuwają.

Akcja tytułowych „Strażników zmarłych” toczy się na redzie portu nigeryjskiego Lagos. Na statku Oban dochodzi do morderstwa. W Nigerii ogłoszono stan wojenny i policja nie może przyplłynąć; przeprowadzenie śledztwa kapitan powierza zatem stewardowi Ramsdellowi, który z wykształcenia jest... logikiem.

Joanna Łukowska: DRESZCZE

Opowiadane przez narratorów historie dotyczą przeżyć bolesnych, nierzadko traumatycznych, po których pozostają widzialne i niewidzialne blizny; opisują stany, kiedy śmierć wydaje się jednym rozwiązaniem; wnikają w świat niesamowity, z pogranicza horroru, thrillera, fantastyki; zagłębiają się w szarość ludzkiej samotności...

Myślmy, że zło przytrafia się innym – dopóki nie dotknie nas swoimi zimnymi palcami, nie złapie za gardło, nie ścisnie za serce.

Z otchłani ratuje nas miłość, przyjazna dłoń, drugi człowiek. Bo sami dla siebie jesteśmy demonami i aniołami.

Grzegorz Krzyżewski: TERCET I INNE HISTORIE

Kryminał, obyczaj, horror? Wszystko to znajdziemy w zbiorze opowiadań Tercet i inne historie. Oraz sporą dawkę seksu, rozumianego jednak w każdym z opowiadań inaczej. Jak rodzaj sportu, rozrywki młodych ludzi, którzy idą do łóżka równie łatwo jak do pubu; jako wyraz marzeń, tęsknot i miłości; wreszcie jako przejaw chorych pragnień albo... wstęp do kary.

Piotr Sikorski: STREFA LĘKU

By zapanować nad naszą wewnętrzną strefą lęku, musimy najpierw ją nazwać, zdefiniować jej przyczyny, a potem stanąć twarzą w twarz z naszymi największymi koszmarami. Bohaterowie zbioru opowiadań „Strefa lęku” wpadli w sidła strachu. Czy zdołali się z nich wydostać? Strach jest częścią naszego życia, towarzyszy nam od dzieciństwa. Czy można przed nim uciec? A może lepiej nauczyć się go kontrolować?

Prezentujemy pięć opowiadań. W każdym z nich strach ma inną twarz, która objawia się odmiennych sceneriach. Bo strach jest przebiegły i może nas dopaść w każdej chwili, nawet podczas snu.

Jan Siwmir: ŻABEŁ TROJAŃSKI

Powieść kryminalna z mocnym tłem obyczajowym. Historia dwóch inteligentów na samym dnie drabiny społecznej. Wygadany Żabeł i ambitny Maryśka zostają wyrobnikami na obczyźnie. Muszą się przystosować nie tylko do walijskich realiów i ciężkiej pracy fizycznej, ale i do stylu życia oraz poczucia humoru obowiązującego w rejonach z pogranicza klasy robotniczej, marginesu i jaskiniowców. A przy tym mają niełatwe zadanie: rozwiązać sprawę tajemniczych zaginięć Polaków na Wyspach...

Prolog dodaje powieści „poetyckich barw”, a epilog – zaskakuje.

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacą nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.